

JERZY MARIA ROSZKOWSKI

Świat w oczach czarownicy



Historie o mojej matce,
górach i przemijaniu

Zakorzeniony w świecie, którego już nie ma, wciąż słyszę jej głos...

W sercu Gór Świętokrzyskich stał dom przesiąknięty zapachem bylicy, werbeny i piżma. Mieszkała w nim kobieta, która znała moc ziół i przywoływała dusze zmarłych. Ludzie szeptali o niej z lękiem, lecz przychodzili po ratunek, gdy medycyna zawodziła. Nazywali ją czarownicą, a dla mnie była mamą, która dawała wskazówki, jak poruszać się po ścieżkach życia.

Świat w oczach czarownicy. Historie o mojej matce, górach i przemijaniu to autobiograficzna książka o duchowości i dziedzictwie łącząca rodzinne wspomnienia oraz opowieść o regionie, gdzie dawne wierzenia i religia katolicka współistnieją od wieków. Dorastający w tym świecie chłopiec, dziś dojrzały mężczyzna, dzieli się osobistą historią, w której echa matczynych słów splatają się z jego własnymi wyborami.

Jerzy Maria Roszkowski

– ekonomista w zakresie handlu zagranicznego. Podróżnik ze szczególnym zamiłowaniem do rodzinnych Gór Świętokrzyskich. Zainteresowanie ezoteryką zaszczerpiła w nim matka – kobieta, której osobowość i nietuzinkowość stały się fundamentem do napisania tej książki.

Jerzy Maria Roszkowski

ŚWIAT W OCZACH CZAROWNICY

Historie o mojej matce,
górach i przemijaniu



Redaktorka prowadząca: Agata Sikorska-Olszowa
Redakcja: Katarzyna Sadowska-Dobrowolska
Korekta: Dorota Brzostek, Vanessa Włodarczyk
Projekt okładki: Marcin Dolata
Skład i łamanie: Olga Dziuba

Copyright © Jerzy Maria Roszkowski 2025
Copyright © by Sorus® 2025

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości
bądź fragmentów niniejszego dzieła bez pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

ISBN 978-83-68095-17-3 książka
ISBN 978-83-68095-18-0 e-book

Wydanie I, Poznań 2025
Printed in Poland

Twoja opinia jest dla nas ważna! Zachęcamy do podzielenia się wrażeniami
po lekturze tej książki i dodania swojej oceny: www.sorus.pl/opinia

Masz pomysł na książkę lub gotowy tekst? Opublikuj swoje dzieło ze wsparciem
wydawnictwa i dołącz do grona naszych autorów: www.sorus.pl/dlaautorow

Wydawnictwo Sorus

DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
e-mail: sorus@sorus.pl
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl/sklep



www.sorus.pl



[dmsorus](https://www.facebook.com/dmsorus)



[wydawnictwosorus](https://www.instagram.com/wydawnictwosorus)

MATKA

Kiedy mojej matki nie było w pobliżu, wszyscy we wsi nazywali ją czarownicą. Wzbudzała powszechny strach.

Nie była jednak jędzą o haczykowatym nosie i świdrujących, czarnych oczach, które rzucały uroki. Nie miała czarnego kota, kruka ani węża. Na jej ramieniu nie siedziała sowa. Nie miała jednej nogi kościanej ani obwisłych piersi i nie miała słabego wzroku. Jej chata nie stała na kurzych nóżkach. Nie miała usposobienia złośliwego, mściwego, zazdrosnego, ani też nie była małomówna, posępna, stroniąca od kontaktu z ludźmi. Nie posiadała żadnych odrażających, diabelskich znamion. Nie wcielała się w inne stworzenia, zwłaszcza w żaby, ropuchy czy w ćmy. Nie lepiła woskowych figurek, w które mogłaby wbijać szpilki, żeby sprowadzać na ludzi choroby. Nie odbierała krowom mleka, nie wywoływała ich pomoru, ani też nie ściągała na pola gradu niszczącego plony. Nie sprowadzała też plag gąsienic czy innego robactwa. Nie odbierała ludziom sił witalnych. Nie sporządzała

mikstur z ciał niechrzczonych dzieci. Nie sadzała też malców na łopatę i nie wrzucała ich do pieca. A gdy była w kościele, nie mrużyła oczu i nie pluła w czasie podniesienia. Nikt matki nie posądzał o udział w obrzędach typowych dla czarownic. Nie urządzała schadzek z innymi wiedźmami, nie rozbierała się z nimi do naga i nie gotowała w kotle ziół. Nie wabiła księżycy, by w postaci krowy zszedł na ziemię, i nie doiła go, chcąc pozyskać niezbędne do czarów mleko. Słowem: nie zaprzedała duszy diabłu, a ja nie mogłem zrozumieć takiego nastawienia wieśniaków.

Nasza chata znajdowała się w lesie i tylko to mogło sugerować, że mieszka w niej Baba Jaga. Zresztą matka świadomie wybrała takie miejsce.

Matka wyglądała niepozornie. Była niskiego wzrostu, miała niebieskie oczy i włosy koloru lnu. Nigdy nie chodziła ponura. Często śmiała się i żartowała. Łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi i pomagała im, jak tylko potrafiła. Nie było we wsi osoby, której nie udzieliłaby dobrej rady lub pomocy zdrowotnej. Zioła przyrządzane przez nią cieszyły się wyjątkową popularnością, gdyż pomagały na choroby, których lekarze jeszcze nie potrafili wyleczyć.

Matka paliła papierosy i czasami chodziła w spodniach. W tamtych czasach jedno i drugie było

na wsi rzadkością i było źle widziane, ale matce to uchodziło. Ja sam od dziecka przyzwyczailem się do kłębow dymu papierosowego, unoszącego się w naszej izbie, i nie zwracałem na to uwagi. Zresztą wtedy wszyscy palili w zakładach pracy, kawiarniach i restauracjach. Nie troszcząc się zupełnie o niepalących. Duchy jednak nie lubiły, gdy matka paliła. Nie wiem, dlaczego zawsze wyrażały swój sprzeciw i faworyzowały osoby niepalące. Inne cechy mojej matki powinny im odpowiadać. Duchy lubią zdrowe osoby o poukładanym życiu, potrafiące kochać i wybaczać, takie, które osiągnęły równowagę psychiczną i fizyczną.

Matka obrażała się na słowo „czarownica” i chciała, żeby mówiono, że jest dobrą wróżką. Było to o tyle prawdą, że jej wróżby zawsze się sprawdzały. Twierdziła, że czarów żadnych nie uprawia, i tak było, ale tylko do pewnego czasu.

DWÓR

Byłem za mały, żeby pamiętać wojnę. Straszne sceny pacyfikacji wsi świętokrzyskich na szczęście nie zostały w mojej pamięci. Zatarły się obrazy płonących osad i lasów. Rozstrzeliwanych

mężczyzn, kobiet i dzieci. Wściekłych walk polskich partyzantów z niemieckim okupantem. Masowych nalotów hitlerowskich samolotów na uciekającą drogami ludność cywilną.

– Mamo, mówią, że w czasie wojny Niemcy rozbijali główki dzieci o drzewa. Dlaczego ja żyję?

– W naszej okolicy nie rozbijali – odpowiadała lakonicznie matka.

Słabo pamiętam twarz mego ojca, który został zastrzelony przez Niemców na ganku naszego dworu za to, że pomagał partyzantom. Żołnierz strzelił do niego z karabinu, z bliskiej odległości. Na jego piersi wyrosła plama krwi, a później ojciec upadł martwy.

Następny, powojenny już obraz, który utrwaliłem w pamięci, to zacięta twarz mojej matki. Zawsze wesoła, tym razem była twarda i surowa. Patrzyłem na nią i płakałem. Musiało stać się coś strasznego.

– Nie płacz, synku – pocieszała mnie. – Jeszcze im się odpłacimy. Bądź mężczyzną. Pomścimy naszą krzywdę. Komuniści wyrzucili nas z dworu, ale my jeszcze tu wrócimy. Nie porzucimy domu, w którym nasza rodzina mieszkała od trzystu lat.

Milicjanci, uzbrojeni w pepesze, śmiali się z nas i upominali:

– Jaśnie pani dziedziczka już nigdy tu nie wróci. Teraz jest komunizm. Jak tylko zbliży się pani

do dworu na odległość mniejszą niż trzydzieści kilometrów, to z więzienia już pani dziedziczka nie wyjdzie. Wyzysk człowieka przez człowieka skończył się bezpowrotnie.

Jeden z milicjantów ściągnął matce złoty, rodowy sygnet z palca, mówiąc:

– To należy do skarbu państwa. A wy spływajcie, póki jeszcze mamy dobry humor. – Matka wiedziała, że nie żartują, więc staraliśmy się jak najszybciej zejść im z oczu. Schowałem pod sweter misia, żeby mi go nie zabrali. Biblioteki, która zawierała białe kruki, nie byliśmy w stanie udźwignąć. Matka zabrała jednak kilka książek. Przewidywaliśmy, że księgozbiór zostanie spalony.

Walizka, którą matka niosła, była bardzo ciężka, ale mimo to przyspieszyliśmy kroku. Deszcz zaczął padać i na drodze porobiły się błotniste kałuże. Nogi grzęzły nam w błocie i nie wiedzieliśmy, dokąd mamy iść.

– Wytrzymaj, synku – motywowała mnie matka. – Najważniejsze, żeby oddalić się z tego miejsca. Potem jakoś sobie poradzimy. Najważniejsze, że żyjemy.

Zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, żeby ostatni raz spojrzeć na dwór. Był cały zrobiony z solidnych, modrzewiowych bali. Miał ganek wsparty na czterech drewnianych kolumnach i osiem dużych,

prostokątnych okien od frontu. Spadzisty dach pokryto gontem. Widać było na nim cztery białe kominy. Przed dworem stał klomb porośnięty bratkami. Dalej, za dworem, widziałem prowadzącą do niego lipową aleję. Wśród gęstwiny parku widać było błękit stawów hodowlanych.

Zadziwiła pustka tego miejsca. Kiedy wybuchła wojna, ojciec podarował polskim ułanom stado ogierów. Resztę inwentarza żywego rozgrabili Niemcy i Rosjanie, a i partyzanci dużo od nas dostali. Służbę i pracowników matka wcześniej odprawiła, nie chcąc narażać ich na represje ze strony nowej władzy. Patrzyłem na klomb i wydawało mi się, że bratki mają oczy i te oczy smutno na mnie patrzą, żegnając mnie na zawsze. Na koniec przeżegnaliśmy się.

Byliśmy w rozpacz. Matka już wiedziała, że ci, którzy produkowali najwięcej zboża w Polsce, będą pozbawieni majątków. Docierały już do niej ponure wiadomości. Właścicielom pałaców i dworów zabrano dwadzieścia jeden tysięcy majątków, ich samych wyrzucając na bruk, bez prawa do odszkodowania. Łącznie trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Nie mieliśmy możliwości wysłuchania przemówienia Aleksandra Zawadzkiego z posiedzenia

Komitetu Centralnego, które odbyło się 9 października 1944 roku. Mówił w nim: „Należy aresztować wszystkich obszarników i administratorów pańskich, aż do jednego, i wywieźć ich rodziny. Osiągnie się przez to uspokojenie wsi. Odsuwając pana, odsuwamy niepewność chłopa. Wskazuje to chłopu, jaka jest władza, która przeprowadziła reformę. Na ten odcinek musimy skoncentrować wszystkie siły partii i wojska. Każda dywizja, każdy pułk powinien pod kierownictwem partii wydzielić specjalne kompanie dla przeprowadzenia reformy. Zadaniem ich jest nie tylko trzymać za mordę, ale również przeprowadzić robotę polityczną”¹. Komuniści dobrze kalkulowali. W Polsce nadal byli Niemcy, a oni już szykowali się do przejęcia władzy.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że mamy dużo szczęścia, bo matka ani nie trafiła do więzienia, ani nie została wywieziona na Syberię. Zaraz po wojnie pociągi z polskimi zesłańcami regularnie kursowały w tamtym kierunku. Co do mnie, pewnie skończyłbym w domu dziecka.

Wtedy nie czytałem jeszcze *Kazań sejmowych* Piotra Skargi, genialnego jezuitę-wizjonera, który już w 1600 roku przewidział naszą przyszłość i wygłosił kazanie, w którym wieszczyl: „Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania

jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy włóczędzy, których popychać nogami tam, gdzie was pierwwej ważono będą”². W tym czasie Polska była jednym z największych i najbogatszych krajów Europy, a na pewno najbardziej demokratycznym i tolerancyjnym. Jakim cudem Piotr Skarga mógł przewidzieć, że w XX wieku Polska będzie na granicy całkowitej zagłady?

Matka komentowała naszą sytuację:

– My nie jesteśmy nikim ważnym, zniesiemy to godnie. Niczego lepszego nie możemy oczekiwać ani od komunistów, ani od naszych odwiecznych wrogów: Niemiec i Rosji. Przeraża mnie tylko, jak Anglicy potraktowali naszych bohaterskich generałów, którzy walczyli nie tylko o naszą wolność, ale oddali też olbrzymią przysługę aliancom. W nagrodę lordowie ich skopali. A przecież uczono mnie, że szlachectwo zobowiązuje. Jeśli angielskich lordów nie obowiązują honor, godność i sprawiedliwość, to kogo na świecie te zasady mają obowiązywać? Papuasów? – matka była smutna.

– A co nam Anglicy zrobili? – zapytałem, starając się dorównać matce kroku.

– Chodzą słuchy, że nasi legendarni przywódcy nie są przez nich należycie traktowani, że nie

mają środków do życia i imają się różnych, niegodnych zajęć, żeby tylko przeżyć. Podobno generał Stanisław Sosabowski pracuje jako magazynier, a dowódca Armii Krajowej i Naczelnny Wódz, Tadeusz „Bór” Komorowski, jako tapicer. Generał dywizji, Stanisław Maczek, jest zatrudniony jako barman. Podobno Polaków nie dopuszczono nawet do udziału w Paradzie Zwycięstwa w Londynie. Wszystkich naszych bohaterów żyjących na emigracji Władza Ludowa pozbawiła obywatelstwa polskiego. Polska została potraktowana jak kraj, który walczył u boku Hitlera, straciła jedną piątą swojego terytorium i jest okupowana przez obce wojsko. Pamiętaj, synku, że w życiu można liczyć tylko na siebie samego.

Ulewa rozpętała się na dobre. Nie mogliśmy mieć nadziei na pomoc rodziny, gdyż wszyscy nasi krewni byli w identycznej sytuacji. Matka trzymała w jednej ręce walizkę, w drugiej torbę z żywnością i nie była w stanie osłonić się od deszczu. Ja też byłem całkowicie przemoknięty i starałem się uchronić chociaż swojego misia.

Na drodze przed nami pojawiła się chłopska furmanka. Na koźle dostrzeżliśmy pomarszczonego staruszka, który na nasz widok uśmiechnął się dobrotliwie i przemówił:

– Niech pani dziedziczka wsiada. Podwiozę panią, gdzie tylko pani sobie życzy. – Wsiedliśmy na wóz, który wolno ruszył.

– Co? Wyrzucili panią z dworu? – nie dowierzał słowom matki. – Mnie nazywają kułakiem i zabrali mi hektary. Tylko ci, którzy wszystko przepili, mają dobrze. Musimy sobie nawzajem pomagać.

Kilka kolejnych dni spędziliśmy w wiejskiej zagrodzie miłego staruszka, nocując w stodole na sianie. Którejś nocy matka wróciła do naszego dworu i wykopała złote ruble, ukryte w parku dworskim. Ryzykowała dużo. W tym okresie spośród tych, którzy mieli nieszczęście trafić do więzienia, mało kto z niego wychodził. Jeśli już, to nogami do przodu. A za posiadanie złota groził jeszcze wyższy wyrok niż za samo zbliżenie się do dworu. Jednak tylko dzięki tym złotym rublom byliśmy w stanie przetrwać, a po paru latach, kiedy sytuacja polityczna poprawiła się trochę, kupić chłopskie gospodarstwo.

CHATA

Nasza chłopska chata stała na wysokim pagórku z widokiem na masyw Gór Świętokrzyskich. Z jednej strony była otoczona lasem, z drugiej łąką,

wokół której rosły modrzewie, tuje, cisy, jałowce i lilie. Po łące fruwały pomarańczowe motyle. Z okna domu miałem piękny widok na złociste pola, które przeplatały się z zielonymi pasmami borów Puszczy Jodłowej. Zachodzące słońce jaskrawo oświeślało czerwone maki w zbożu, strumień porośnięty niezapominajkami oraz staw z przezroczystą wodą, w której pływały karasie. W lecie często kąpaliśmy się w nim. Czasami miałem ochotę oderwać się od pagórka i poszybować jak ptak nad szachownicą pól i lasów.

Nasz dom był zbudowany z belek jodłowych, łączonych „na zakładkę jednostronną, prostą”, jak mówiono we wsi. Stał na podmurówce z polnych kamieni spajanych glinianą zaprawą. Dach miał kryty gontem. Przed chatą stała studnia z żurawiem. Cały dom był otoczony jałowcami. Matka uważała, że bronią go przed złymi duchami i że dzięki nim bydło będzie zdrowsze i płodniejsze. W ogrodzie przed domem rosły jabłonie i grusze, były w nim też grządki z ziołami. Chałupę, ogród, stajnię, oborę, kurnik i psią budę otaczał drewniany płot, zбитy z desek i żerdzi. Za ogrodzeniem biegał bardzo groźny, wilkopodobny pies Bury. Skutecznie straszył dziki i sarny, które podchodziły pod samo gospodarstwo. W chałupie

nie było prądu i oświetlaliśmy pomieszczenia lampami naftowymi. Wodę nosiliśmy ze studni. Zimą drewnem paliliśmy w piecach. Zbita z desek toaleta była na zewnątrz.

Chałupa składała się z sieni, dwóch izb, kuchni i komory. W mniejszej izbie była nasza sypialnia. W większej matka przyjmowała wieśniaków. Były tam dwa okrągłe stoły, przykryte białymi obrusami, na których stały szklane wazony z kwiatami. Obok stało kilka drewnianych krzeseł, rzeźbionych w motywy ludowe. Na ścianie wschodniej wisiał duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przybrany leśnymi kwiatami. W środy, soboty, niedziele i w święta maryjne przed obrazem Niepokalanej paliła się lampka oliwna. Tutaj co wieczór odmawialiśmy pacierz. Na ścianie wisiało kryształowe lustro, które matka raz na tydzień tarła świeżym sokiem z bylicy, żeby wzmocnić swoje zdolności wróżenia.

W kuchni był piec chlebowy z okapem, a w komorze narzędzia oraz suszarnia ziół i grzybów. W stajni mieszkał zimnokrwisty koń Gniady. W oborze stały krowy, byk i cielaki. Bydło samo wychodziło z obory na pastwisko, wybierając sobie miejsce z najobfitszą trawą, czasami wchodziło też do lasu. Wieczorem samo wracało.

Nasz dom był o kilometr oddalony od wsi, co było dużą dogodnością dla matki. Dzięki temu unikaliśmy wścibskich sąsiadów. Dodatkowo Bury wściekłym ujadaniem ostrzegał nas zawsze przed zbliżającymi się intruzami. Dzięki temu mogliśmy przygotować się do nieoczekiwanej wizyty.

Posiadaliśmy pięć hektarów gruntu: dwa hektary żyta, hektar ziemniaków, hektar owsa i hektar łąki. Ziemia była nieurodzajna i trudno było z niej wyżyć. Matka dorabiała więc, lecząc chłopów ziołami lub wróżąc im z kart. Dostawała za to drobne pieniądze i płody rolne. Najczęściej były to kury lub jajka. Do moich obowiązków należało wyganianie krów na pastwisko, jeśli same nie chciały iść, pomaganie w polu oraz noszenie „chłopcom z lasu” mleka, chleba, drobiu i jajek z naszego gospodarstwa. Nosilem im też produkty rolne, które matka dostawała od chłopów za leczenie. Jedzenie dostarczałem do lasu, kiedy zapadał zmrok, żeby nikt mnie nie widział. Skradałem się od drzewa do drzewa, długo nasłuchując. Zachowywałem się jak leśne zwierzę. Zostawiałem prowiant w dziupli starego, ogromnego dębu, zasłaniając jej otwór chrustem. W zamian otrzymywałem puste bańki na mleko i pieniądze za jedzenie.

SZKOŁA

Nie przepadałem za szkołą. Najbardziej lubiłem chodzić boszo, a do szkoły trzeba było zakładać buty. Mimo to codziennie do niej chodziłem, bo tak chciała matka. Już pierwszego dnia, gdy wychodziłem do szkoły, ostrzegła mnie:

– Pamiętaj, żebyś w szkole nic nie mówił o tym, co dzieje się w domu, ani nic, o czym my tu rozmawiamy. Tam jest pełno donosicieli. Pamiętaj, że Bolesław Bierut to twój ukochany ojciec, a Józef Stalin najdroższy dziadek. Związek Radziecki to wspaniały kraj, który cztery lata temu wyzwolił naszą ojczyznę spod okupacji hitlerowskiej. Najważniejsze bitwy w czasie II wojny światowej to bitwy o Stalingrad, Kursk, pod Lenino i o Berlin. Na Zachodzie polscy żołnierze nie walczyli. Gdy ktoś zapyta, czy widziałeś partyzantów, to masz odpowiedzieć, że jak zobaczysz bandytów, to zaraz dasz znać władzom. Jak mnie nie posłuchasz i będziesz w szkole gadał niepotrzebne rzeczy, to przyjdzie ubecja i mnie aresztuje. Musisz wiedzieć, że w obecnych czasach z więzienia nikt nie wychodzi, a ty pójdziesz do domu dziecka. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, ale nie mogę tego pojąć. Dlaczego cztery lata po wojnie ciągle toczą się jakieś walki, a ja muszę nosić żywność do lasu?

– Widzisz, synku, Roosevelt i Churchill rzucili Stalinowi Polskę na pożarcie. Zanim ją przetrawi, oni już będą mieli zaawansowaną technologię broni atomowej. Są jednak tacy Polacy, którym nie podoba się to trawienie i dlatego walczą.

Szkoła znajdowała się w sąsiedniej wsi i musiałem tam chodzić połą drogą przez las. Niedaleko szkolnego budynku myłem w strumieniu nogi i zakładałem buty. W szatni zmieniałem je na kapcie. Szkoła była piętrowa i murowana. W środku ściany były białe, a na podłodze leżały jodłowe deski.

W naszej klasie wisiały portrety Józefa Stalina i Bolesława Bieruta oraz wycięte z papieru gołąbki pokoju. W ławkach były umieszczone szklane kałamarze. Przed ławkami stał stolik dla nauczyciela. Na ścianie wisiały wielka, czarna tablica i liczydła. Na szafce stał globus.

Codziennie przed lekcjami odmawialiśmy pacierz, który zaczynał się słowami: „Dzięki Ci Boże za światło tej nauki...”, chociaż była to szkoła publiczna. Nic dziwnego, przecież towarzysz Stalin uczył się na popa i w czasie wojny w Związku Radzieckim ponownie wprowadził zniesioną wcześniej religię prawosławną.

W szkole śpiewaliśmy piosenki o radzieckich kołchoźnikach i deklamowaliśmy wiersze o Stalinie. Jeden szczególnie utkwiał mi w pamięci:

Któż jak on przez dziesiątki lat
na dziobie okrętu wytrwał,
W szóstej części przegląda się świat – bitwa.
Tam bezrobocie strajki i głód.
Tu praca traktor.
Tworzy historię zwycięski lud.
Chwała faktom³.

W szkole wszyscy nauczyciele bili nas linijkami po rękach, kazali nam za karę stać lub klęczeć w kącie. Najłagodniejszą karą za niegrzeczne zachowanie było wyrzucenie z lekcji. Jeśli nauczyciel zdenerwował się wyjątkowo mocno, potrafił ręką uderzyć ucznia po głowie lub wykręcić mu ucho. Największą karą był jednak wpis o złym zachowaniu do dzienniczka. Ojcowie wtedy nie próżnowali i w domu pas zawsze był w robocie. Mnie matka, jeśli traciła panowanie nad sobą, biła ścierką.

Rygor niewiele jednak pomagał. Uczniowie w czasie przerw bili się w klasie, dźgali się stalówkami lub cyrklami i oblewali atramentem. Gdy lekcja była nudna, potrafili uciec przez okno i pójść na wagary. Największe przerażenie wzbudzała woźna, która chodziła po korytarzu z miotłą i biła nią uczniów po nogach. Tylko ona była w stanie wprowadzić żelazną dyscyplinę na szkolnym korytarzu.

Co tydzień higienistki przeglądały uczennicom i uczniom włosy, sprawdzając, czy nie mają wszy.

Groziło to ostrzyżeniem „na zero”. Na takiego chłopca wszyscy krzyczeli: „Łysa pała!” i bili go po głowie. Na szczęście ja nigdy nie miałem wszy, bo matka bardzo dbała o moją higienę.

W drodze powrotnej do domu dochodziło do bójek, dzięki którym mogłem przekonać się, czy daję radę najsilniejszym chłopcom. Zawsze reagowałem, gdy ktoś mnie nazwał synem czarownicy i chłopakom szybko odechciewało się tak mnie przezywać. Niejeden z kolegów miał z mojego powodu rozbity nos i sińce pod oczami. Byłem bardzo dobrze rozwinięty fizycznie. Od małego nosiłem wiadra z wodą, rąbałem drewno, biegałem za krowami po pastwisku, chodziłem po drzewach i robiłem wyprawy do lasu po chrust. Szczególnie mocno rozwinęły mi się mięśnie przy noszeniu ciężkich baniek z mlekiem, które przygniatały mnie swoim ciężarem.

W szkole dziewczynki nosiły granatowe fartuchy i białe kołnierzyki. Chłopcy ubierali się w to, co mieli, ale musieli być ubrani czysto i skromnie.

EWA

Gdy skończyłem dziewięć lat, zakochałem się w Ewie, która chodziła do mojej klasy i była

córką nauczycielki. Miała duże, niebieskie oczy i jasne włosy, zaplecione w dwa warkoczyki. Na końcach warkoczy nosiła białe kokardy. Zawsze była czysta i starannie uczesana, co w tamtych czasach nie było regułą.

Podziwiałem ją za to, że była prymuską, czyli zajmowała pierwsze miejsce w klasie pod względem nauki. Miała wszystkie zeszyty i książki starannie obłożone i kompletnie wyposażony piórnik. Jeśli chodzi o mnie, uczyłem się przeciętnie. Często w tornistrze nie miałem potrzebnych zeszytów lub książek, nie mówiąc już o zawartości piórnika.

Ewie często towarzyszyłem w drodze do szkoły i była to jedyna okazja, żeby z nią porozmawiać. Wieczorami podkradałem się pod jej dom. Okno jej pokoju wychodziło na sad. Zwykle nie było zasłonięte. Wchodziłem na gruszę i obserwowałem ją siedzącą przy biurku i odrabiającą lekcje. W jej murowanym domu było już światło elektryczne. Na biurku stała lampa, która jasno oświetlała wnętrze pokoju. Ewa odrabiała starannie lekcje, później czytała książkę, następnie znikwała w łazience. Wracła przebrana w nocną koszulę. Gasiła światło i kładła się spać. Bałem się, że po ciemku zauważy mnie siedzącego na gałęzi, ale ona nigdy mnie nie dostrzegła. Nigdy nawet nie przyszłoby jej do głowy,

że mogę być za oknem. Jej pies, częstowany regularnie kielbasą, już na mnie nie czekał, tylko merdał ogonem na mój widok.

Moim marzeniem było, żeby chodzić z Ewą na spacer, ale jej rodzice nie zgodziliby się na to, o czym Ewa była przekonana. Jej rodzice uważali bowiem, że jesteśmy zbyt biedni, żeby ich córka mogła się ze mną przyjaźnić. Postanowiłem, że jak dorosnę, to na pewno ożenię się z Ewą.

Matka denerwowała się, gdy długo nie wracałem, i napominała mnie:

– Synku! Tu jest puszcza. W puszczy żyją dzikie zwierzęta. Może cię rozszarpać stado dzików, które włóczy się pod chałupą. Ostatnio rozmnożyły się wilki. Zabraniam ci tak późno wracać. A tak przy okazji, czy lekcje są odrobione?

Przyznawałem matce rację i siedłem grzecznie spać. Lekcje mogłem przecież odrobić kiedy indziej. Najważniejsze, że znów napatrzyłem się na Ewę.

PŁACZ

Po szkole, kiedy ostatni koledzy odłączali się ode mnie i szli do swoich chat, kierowałem się w stronę łąki. Łąka znajdowała się na całkowitym

bezludziu, obok zbocza wysokiej góry. Była porośnięta trawą, a gdzieś tam rośli na niej jałowce. Na górze rozpościerał się wysoki las. Po łące snuły się mgły wywołane jesienną porą roku i licznymi strumieniami. Schowany w jej gęstych oparach, bezpieczny od czyjegoś wzroku czy słuchu, wybuchiałem głośnym płaczem. Jego echo odbijało się od kamiennej góry i niosło się hen po gołoborzach Gór Świętokrzyskich. Płacz mój narastał, a gdy osiągał apogeum, zaczynałem wołać:

– Tato, tato!

– Tato, tato! – odpowiadało mi echo.

Kładłem się na plecach, na miękkiej trawie, i nabierałem sił, po czym znów krzyczałem:

– Tato, tato! – Mój płacz nasilał się. Łzy płynęły mi z oczu niczym letnia ulewa. Łudziłem się, że może postać mego ojca wyłoni się z szarej mgły, weźmie mnie za rękę i zapyta: „Dlaczego płaczesz, synku? Masz przecież jeszcze kochającą cię mamę, która dobrze opiekuje się tobą. Masz gdzie spać i co jeść. Chodź ze mną. Nauczę cię jeździć konno, strzelać z fuzji i polować. Przy tobie zawsze będzie moje obronne ramię, żeby nikt cię nie skrzywdził”.

Leżałem na plecach i patrzyłem w obłoki zasnułe lekką mgłą. Nabierałem sił, wstawałem. I znów

moje żałosne wołanie zakłócało spokój leśnym zwierzętom:

– Tato, tato! – krzyk niósł się po górach.

W końcu, zmęczony krzykiem i płaczem, ocierałem rękawem łzy i powoli kierowałem się do domu.

ROZMOWA

Któregoś dnia, wbiegając na nasze podwórko, zawołałem:

– Mamo! W szkole mówią, że jestem synem czarownicy. Co ty na to?

– Wiem, że tak we wsi o mnie mówią, ale to nie jest prawdą. Czarownice, synku, zsyłają na ludzi choroby i śmierć, a ja ich leczę. Czciciele diabła mogą tylko szkodzić, w żadnym wypadku nie wolno im leczyć ludzi, nawet jeśli byliby w stanie to zrobić. Chłopskie synki – tak matka nazywała księży, gdyż uważała, że wszyscy księża są pochodzenia chłopskiego – nigdy nie rozumiały takich subtelności. Według nich każdy, kto jest w stanie pomóc nieuleczalnie choremu, używając do tego niekonwencjonalnych metod, jest czarownicą. Chcę ci powiedzieć, że chłopskich synków trzeba uważnie słuchać, ale też podchodzić z podejrzliwością do tego, co mówią. Istnieją wśród

nich tacy, którzy zadają się z demonami. Papież Jan XII z Awinionu sam twierdził, że został urzeczony demonicznymi praktykami. Tymczasem w średniowieczu palono na stosach niewinne zielarki, które nic złego nie robiły. Ja też jestem taką zielarką i pomagam ludziom tak, jak potrafię, bo ani w naszej wsi, ani nigdzie w okolicy nie ma służby zdrowia. A odkąd zaczęto stosować medycynę nienaturalną, ludzie zaczęli masowo chorować na niespotykane wcześniej schorzenia.

– Czy czarownice latają na miotłach? – dopytywałem.

– To kompletna bzdura, synku. Czy widziałeś kiedy czarownicę lecącą na miotle?

Jeśli jest się synem matki, która interesuje się okultyzmem, trzeba bardzo rozsądnie patrzeć na świat i racjonalnie myśleć. Najważniejszą rzeczą jest starać się zrozumieć poszczególne zjawiska, nawet jeśli wydają się niewytłumaczalne.

– Musisz wyzbyć się wszelkich przesądów i zabobonów – napominała mnie często matka i tłumaczyła:

– Wszystko to jest wymysłem głupich ludzi: czarny kot przebiegający drogę, rozlane mleko, piątek trzynastego, pukanie w niemalowane drewno, niewitanie się przez próg, siadanie na chwilę

po wróceniu się z drogi do domu i tym podobne, wszystko to bzdura. Może jeszcze piątek trzynastego ma odrobinę sensu – dodała po chwili namysłu – bo trzynastego maja w piątek zatoneła Atlantyda, a jej królowa miała na imię Maja, ale to nie ma żadnego związku z dniem dzisiejszym. Chłopi lubią innych oczerniać i dlatego każdemu przypinają jakąś łatkę. Jeśli chcą mi wymyślić jakieś przezwisko, to powinni raczej nazywać mnie „dobrą wróżką”, a nie czarownicą, bo wróżę dobrze.

Po chwili mówiła dalej:

– Ludzi oczerniano od najdawniejszych czasów. Wystarczy poczytać Biblię. W Ewangelii św. Łukasza napisane jest: „Albowiem przyszedł Jan Chrzciciel, i chleba nie jedząc i wina nie pijąc, a mówicie: diabelstwo ma. Przyszedł syn człowieczy jedząc i pijąc, a mówicie: oto człowiek obżerca i pijanica wina, przyjaciel celników i grzeszników. Ale niektórzy z nich mówili o Jezusie: przez Belzebuba, księcia diabelskiego wygania diabły. Ale on widząc myśli ich, rzekł im: każde królestwo rozdzielone samo przeciwko sobie pustoszeje, a dom na dom upada. A jeżeli i szatan rozdzielony jest przeciwko sobie, jakóż się ostoi królestwo jego? Albowiem powiadacie, iż ja przez Belzebuba wyganiam diabły”. Rzymianie i Żydzi uważali Pana Jezusa za czarownika

i dlatego założyli mu na głowę cierniową koronę, gdyż ciernie chronią przed czarami. Myśleli, że w ten sposób bezkarnie mogą go sądzić, gdyż nie będzie w stanie rzucić na nich złego uroku.

– Mamo! A co to jest magia? – kontynuowałem rozmowę.

– Magia dzieli się na białą i czarną. Biała magia ma na celu leczenie ludzi. Czarna magia – szkodzenie im. Podstawą czarnej magii jest zupełna kontrola, którą czarownik lub czarownica posiadają nad niechętnym, a nawet wrogim demonem. Prak-tycy czarnej magii są pewni, że każdego demona mogą zmusić do przejścia ze świata nadprzyrodzo-nego do naszej rzeczywistości, jeśli tylko dokładnie wykonają odpowiedni rytuał magiczny. W świecie rzeczywistym natomiast mogą zmusić go do uczynienia czegokolwiek, na przykład do sprowadzenia śmierci lub choroby na konkretną osobę, nawet jeśli jest to wbrew woli demona.